ROK PIĄTY.

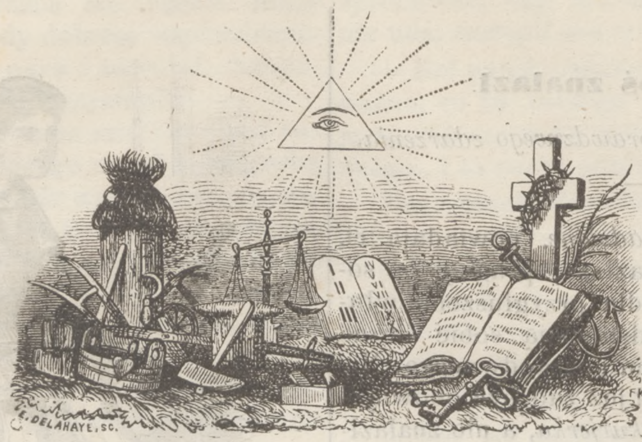
—

№ 24.

WARSZAWA

d. 28 maja (10 czerwca)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.
2ga po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Ty, któryś zdrowy, któryś jest bogaty, któryś nie upadł, ratuj leżącego i upadłego; któryś wesoły, ratuj smutnego; ty, co rękę prawą zdrową masz, tego ratuj, który na lewą choruje. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Jak ś. Jan Kanty

kłamstwem się brzydził.

—

Przez bór ciemny szedł Jan święty,
Tłuszcza zbrojna go napada;
Wnet był mieszek wytrząśnięty —
„Nie masz więcéj?„...“ Nie“ powiada.
Skłamać wprawdzie nie miał celu,
Nad pieniądze prawdę ceni;
Lecz po przejściu staj niewielu
Znalazł jeszcze coś w kieszeni.
Rozbójników co tchu goni,
Przed zdumionym hersztem staje,
I skromnie mu błąd odsłoni,
I ostatni pieniądz daje.
W zepsutego zdaniu świata
Dziwactwem się ten czyn stanie;
W kim Jan znajdzie adwokata?
Na sąd zbójców zdaj się Janie!
Do łez wszyscy poruszeni,
Reszty złota nie przyjmują,
A wprzód zabrane, z kieszeni
W mieszek nazad mu zsypują.
Domyślać się nawet możem,
Że od tej szczęsnej godziny
Niejeden rozstał się z nożem,
Poszedł płakać za swe winy.
Bo jest jedna tajemnica:
Że gorąca miłość boża
Serca nawet złe pochwyca,
I sprowadza je z bezdroża.

Oddaj, coś znalazł.

Obrazek miejscowy z prawdziwego zdarzenia.

—

Znalezione, nie kradzione, powiadają ci, co rzecz cudzą znalazłszy, pragną ją sobie przywłaszczyć, a dla przygłuszenia własnego sumienia, przedstawiają sobie liczne trudności w wyszukaniu poszkodwanego. Nie jeden uważa, iż uczynił już zadosyć obowiązkowi, kiedy przejrzał *kurjerka*, a nie znalazłszy w nim odpowiedniego ogłoszenia o zgubie, rzecz znalezioną już z czystem niby sumieniem sobie zabiera i na własny obraca użytek. A jednakże tak nie jest, gdyż zarówno prawa boskie jak ludzkie, wyraźnie powrócenie znalezionéj rzeczy nakazują.

Każdy więc czyn, odznaczający się w tym względzie poczciwością zasługuje na upowszechnienie, tem bardziej, jeżeli główną w nim rolę gra biedny i bez staranniejszego wychowania chłopiec; co posłużyć może za wymowny dowód, że pod bluzą i grubą koszulą bije zarówno zacne serce, zdolne do najszlachetniejszych uczuć.

Podobnego serca jest *Paweł Adamczyk* chłopiec lat 14, zostający od lat kilku w terminie u jednego z zamożniejszych miejscowych majstrów obuwia. Zawsze żywy, wesoły, pogwizdujący, pełen sprytu i dowcipu, które znać dają o wrodzonych jego zdolnościach, jest uciechą swych towarzyszy, postrachem zaś żydziaków na ulicy; zdolności te bowiem, odpowiedniem niepokierowane wychowaniem, wyrobiły z niego zawadjackiego ulicznika. Pomijając tę wadę, jest to chłopiec najlepszego serca, do wszystkiego dobrego chętny, dla majstra usłużny, w posłudze zwinny; posiadł więc łatwo i względy obojga majstrowstwa i szczerą przyjaźń czeladzi i terminatorów.

Przymioty te były powodem, że czy to po towar, czy z robotą, czy do którego z panów po pieniądze, majster zwykle wysyłał Pawełka; a ten sprawiał się zawsze gracko, dobry przyniósł towar, a z otrzymanych pieniędzy nigdy grosza nie uronił.



Otóż raz wysłany będąc podobnież przez majstra po odebranie jakiejś zaległej należności za wykończoną w warsztacie robotę, biegł żwawo ulicą Senatorską ku Bielańskiej, wygwizdując przez zęby znaną nutę śpiewki z komedyi *Młynarz i Kominiarz* podrzucając w górę do taktu pantofel, który zręcznie na podstawioną nogę chwytał. Było to z rana; niewielki ruch na chodnikach dozwalał mu tych figlów, któremi zwracał na siebie uwagę przechodzących. Rad więc z czynionej przez siebie przechodzącym uciechy i chcąc się jeszcze lepiej popisać, wyrzucił silniej niż poprzednio pantofel; ale tym razem zręczność go zawiodła, gdyż ten skręciwszy się w górę, spadł zdala od nogi poza rynsztokiem. Niefortunnym tym wypadkiem zbity jak to mówią z terminu, poskoczył Pawełek wśród ogólnego śmiechu obecnych, dla podjęcia pantofla, gdy schyliwszy się po niego, ujrzał tuż obok leżącą, jak mu się na razie zdało, niewielką w skórę oprawną książeczkę, cieniutkim przewiązaną sznureczkiem. Podjął ją z ziemi, i obejrzał się skwapliwie, pragnąc wyrozumieć, czy przypadkiem kto z obecnych takowéj nie zgubił. Pomiędzy innymi uderzył wzrok jego jakiś otyły pan, dobrego wzrostu, z szerokim i spłaszczonym nosem i wydętemi wargami, który znać przeszkodzony zbiegowiskiem na chodniku, nieco przystanął. Ha! pomyślał sobie Pawełek, zapewne ten pan zguby

swojej upatruje?... trzeba mu będzie jakoś dopomódz. W tem tedy dobrem usposobieniu zbliżył się do owego pana i zawołał: hej panie! panie! czy pan ma wszystko!?...

— Jak to mam? co mam mieć? odparł zapytany, a widząc stojącego wciąż przed sobą chłopca, i sądząc, że sobie z niego żartuje, dodał z gniewem: Idź precz ty ułycznik! bo jak będziesz nadwerężać moją czerpływość, to cię oddam na policyę!...

Z akcentu poznał łatwo Pawełek, z kim miał do czynienia; ująwszy się więc pod boki i przeszedłszy pod nosem nieznajomemu, zawołał, posiłkując się znanemi wyrażeniami z Icka zapieczętowanego: (*)

Jak się mamy Bogu dzięki! dawnośmy sobie nie oglądywali; i zaśmiawszy się na cały głos, zwrócił się do niedaleko ztamtąd stojącej młodej kobiety, niby to wystrojonéj, gdyż była w jasnej sukni jedwabnéj, rozpiętej na szerokiej krynolinie, wszakże całe jej ubranie zdradzało więcej pretensyi jak porządku i dobrego gustu. Że była młodą, wziął ją tedy Pawełek za niezamężną, i uśmiechając się jak umiał najwdzięczniej, zapytał:

— Proszę panienki, czy panienka nie zgubiła czego, bo ja coś znalazłem. Pomimo tak uprzejmego przemówienia, i tym razem nie był szczęśliwym w swym wyborze, gdyż kobieta owa popatrzywszy wzgardliwie na biednie odzianego terminatora, zawołała z oburzeniem:

— Idź precz brudasie! z takimi jak ty hołyszami nie mam nic do czynienia!

Zawrzała krew w Pawełku na tę grubiańską, a niezasłużoną odpowiedź, i odpłacając jej równie pogardliwem spojrzeniem, zaśpiewał:

Warszawskie panienki tęgie mają miny,
Chociaż bez koszuli, noszą krynoliny;
Stroją się w obręcze, jak pawie buńczuczą,
Ale was szewczyki rozumu nauczą!

I pomknął dalej w swoją drogę, że aż pantofle trzeszczały po marmurowych flizach.

Zaledwie tak ubiegł kilkanaście kroków, zatrzymał go żydek handlujący cybuchami i innemi drobiazgami; dowiedziawszy się on z podsłuchu, że chłopak coś znalazł, chciał sprobować, czy mu się co na tem zyskać nie uda; zastąpił mu więc drogę, wołając:

— No! panie czeladnik! panie majster! pokażno, co to takiego znalazłeś? bo to może ja zgubiłem, a ja dam tobie dobrego znaleźnego, i to zaraz gotówką.

Przystanął Pawełek, ale nie w ciemię bity, nie chciał pokazać znalezionego przedmiotu, przekonany, iżby się handlarz zaraz do niego, jak do swéj własności przyznał; odrzekł więc krótko: powiedz mi, jak to wygląda, com znalazł, a oddam ci bez żadnego wynagrodzenia.

Żydek się zmieszał i zająknął, Pawełek zaś pewny już z jego strony podstępu, poskrobał mu przed oczami na palcu marchewkę, przedrzyźniając z uśmiechem:

Zyg, zyg, marcheweczka, zyg, zyg!
Jaki to z wasana uczony jest fizyk....
Nie dla ciebie, com znalazł, książeczka skórzana,
Dla ciebie jest figa... i to malowana!

I pokazawszy mu figę na palcach, sunął dalej, wesoło podskakując.

Stanąwszy u drzwi mieszkania owego pana, od którego odebrać miał pieniądze, zapukał zwolna, potem mocniej nieco, a gdy i to nie pomogło, zadzwonił raz i drugi. Kiedy drzwi pomimo tego nie otworzyły się, Pawełek korzystając z czasu, ciekawy przytem obejrzeć bliżej znalezioną książeczkę, w której się obrazków spodziewał, wcisnął się we framugę okna i wydobył zgubę zpod fartucha. Zsunął sznureczek obciskający książeczkę raczej pugilares, i ten się roztworzył. Zamiast wszakże spodziewanych obrazków ujrzał w nim Pawełek pełno biletów bankowych. Odkrycie to zatrwożyło poczciwego chłopca; nie wiedział bowiem, co ma z niemi począć, gdyż sumienie mówiło mu, że ponieważ to są pieniądze, i tak ich dużo, to pilniej trzeba je zwrócić poszkodowanemu; a gdzie go tu teraz szukać, i jak go znaleść?

Skłopotany ową przygodą Pawełek, powrócił śpiesznie do domu, i opowiedziawszy majstrowi całe zdarzenie, oddał mu do schowania pugilares z pieniędzmi, których po przeliczeniu okazało się sto rubli srebrem, z prośbą, iżby mu pomógł do odszukania ich właściciela; przez myśl mu bowiem nawet nie

(*) Jest to tytuł sztuczki grywanéj w Warszawskim Teatrze Rozmaitości.

przeszło, iżby je sobie przywłaszczyć, jak to czynią niektórzy, chcący w tem upatrywać rękę Opatrzności, jak gdyby Opatrzność darzyła kogo krzywdą bliźniego.

Wszakże usilne starania majstra w odszukaniu właściciela straty, pozostały bezowocnemi: przeglądał on troskliwie wszelkie ogłoszenia w kurjerku, sam nawet podał do niego stosowną wiadomość o znalezieniu przez jednego ze swych terminatorów pewnéj kwoty pieniędzy; nikt się jednak po odbiór zguby nie zgłosił. Tak upłynęło kilka miesięcy i wszyscy w warsztacie uznawali Pawełka, w prostocie swego ducha, za prawego ich właściciela; towarzysze winszowali mu tego szczęśliwego zdarzenia, które stawiało go w możności założenia z czasem na własną rękę warsztatu. Myśl podobna uśmiechała się niejednokrotnie i samemu Pawełkowi, ale odpędzał ją wnet od siebie jako niebezpieczną pokusę, przywodząc na pamięć słowa poczciwej swéj matki wyrzeczone przy pożegnaniu, kiedy do terminu odchodził: *pamiętaj Pawełku żyć po sprawiedliwości; gdyż krzywdą ludzką, nikt się jeszcze nie zbogacił, a niejeden spokojność, dobre imię i niebo utracił.*

W skutek wewnętrznej tej walki Pawełek stracił na humorze, schudł i pomizerniał. Warsztat nie odbijał więcej wesołych jego śmiechów, dowcipne i krotofilne żarciki, co tak bawiły jego towarzyszy, ustały; zgoła sposępniał, i całkiem jak to mówią, osowiał. Widząc, że źródłem tego były owe nieszczęśliwe pieniądze, postanowił bądź co bądź z niemi się rozstać, aby się od pokusy uwolnić; a że w chwilach niepewności najlepszą radę daje szczera modlitwa, uciekł się więc do niej z całą wiarą, i Bóg go wysłuchał i dobrą myślą natchnął.

Nazajutrz rano, a była to niedziela, poszedł do majstra i oświadczył mu, że póty nie będzie spokojnym, póki znalezione przezeń pieniądze pod tym samym co on pozostaną dachem; prosi więc pana majstra, aby z nim razem udał się do kościoła do Fary i oddał pieniądze te na ręce ks. proboszcza, aby ten niemi rozrządził wedle swego rozumu i sumienia. Pan majster assystencyi mu swej w tak poczciwym zamiarze nie odmówił, a szanowny ksiądz Wikary ujęty prośbą chłopca, pieniądze na ręce swe przyjął, z obietnicą dołożenia wszelkich starań ku wynalezieniu poszkodowanego.

Za powrotem do domu, Pawełek jak gdyby się odrodził; wróciła mu dawna wesołość i swoboda, jakie daje wewnętrzne przekonanie o spełnionym obowiązku. Co do księdza Wikarego, ten bez żadnych ze swéj strony zachodów odszukał poszkodowanego, gdyż zdarzenie, a raczej zrządzenie Opatrzności mieć chciało, iż tego samego jeszcze wieczora znalazł się był w towarzystwie z właścicielem zgubionych pieniędzy. Nie byli oni sobie znajomi, ale gdy w ciągu rozmowy ks. Wikary przywiódł nowe zdarzenie z terminatorem, a nieznajomy ów dla niego pan, opisał dokładnie i sam pugilares i znajdujące się w nim rozmaite notatki i ilość zgubionych pieniędzy, ks. Wikary nie wahał się uznać go za istotnego właściciela i doręczyć mu zgubę, przez co najgorętsze życzenia Pawełka ziszczone zostały.

Jakkolwiek czyn podobny jest prostem spełnieniem obowiązku, kiedy jednak nie każdy zdobyćby się na niego potrafił, uważaliśmy właściwem podać go do wiadomości, tak dla dobrego przykładu, jak i dla oddania tem należnej sprawiedliwości pięknemu charakterowi Pawła Adamczyka.

GROBOWCE
na wiejskim cmentarzu.

Roku 1858, w maju przejeżdżałam jedną część Gubernii Lubelskiej ponad rzeką Bugiem leżącą. Piękna pora, tylko co rozwite gałązki drzew, łany zboża, różnobarwne łąki podróż tę uroczą czyniły. Trzeba podróżnika z zimnem sercem, by miejsca rodzinnej ziemi bodaj najmniej piękne, nie robiły na nim wrażenia, tem więcej, gdy z długiego uśpienia budzi się natura, i w każdej trawce, zielonym listku daje podziwiać cudowną rękę Stwórcy! Niech tam inni szukają pięknych okolic poza granicami rodzinnego kraju leżących, unosząc się nad niemi; dla miłośników swojskich rzeczy dość cudów na ojczystej ziemi rozsianych, zdumiewających oko i przyśpieszających silniejsze bicie serca, w którem

budzi się wtedy niewysłowiona cześć ku Stworzycielowi tylu piękności.

O milę przed Bugiem napotkałam wioskę L..... rzuconą na wzgórzu, wśród zielonych smugów, otoczoną kłąbem drzew, przerzniętą strumieniem. Murowany kościołek wznosił się pomiędzy jej schludnemi zabudowaniami, z błyszczącym krzyżem na kopule, a bocianie gniazdo, usłane na wysokiem drzewie olchowem, uzupełniało jej obraz czarowny. Wyjeżdżając z téj zagrody, ujrzałam cmentarz starannie obmurowany; zwróciłam na to uwagę, bo cmentarz porządnie ogrodzony, ze smutkiem tu mi wyrzec przychodzi, nie zawsze się napotyka, a ileż to ich nieogrodzonych z mogiłami opuszczonemi, zarosniętych chwastem, że i śladu grobowców dojrzeć nie można! Widok cmentarza w L..... tak mnie zajął, iż zamierzyłam go obejrzeć, a że słońce już się miało ku zachodowi, postanowiłam zanocować w przyległym zajeździe, i rozlokowawszy się w nim, zwróciłam kroki ku bramie jego, gdy stojąca we drzwiach oberżystka rzekła:

— Jeżeli pani chce iść na cmentarz, to na próżno, bo niema Macieja grabarza w domu.

— Czy zamykany? zapytałam.

— A jakże, odpowiedziała mi z dumą oberżystka; tu wielki porządek, nie tak jak gdzieindziej, co furty wiekami stoją otworem, tu ogród a nie cmentarz: ulice wysadzane, grobowce wszystkie porządnie odarniowane, obsadzone kwiatkami. Czy to pański, czy to chłopski, towszystko zarówno... pan Maciej nie pyta, każdemu kwiateczek zasadzi. Przed piętnastu laty pustkowie tu było, mogiły tu stały w szczerem polu wśród sosnowych krzaków, krzyże niepoobsadzane drzewami leżały powywracane od wichrów, i trzeba było trzodę z niego spędzać, co ryła i kości z grobów wyrzucała.

— A któż teraz takie porządki zaprowadził? zapytałam rozmownej gospodyni.

—Jeżeli Wielmożna pani zechce posłuchać, to opowiem, ale niech pani usiądzie.

I uprzejma kobieta wskazała mi darniową kanapkę przy tylnem oknie zajazdu.

— Otóż mówiła, gdym jej zaprosiny przyjęła, było to pustkowie, i bywało przyjezdni państwo spojrzawszy na zryte mogiły, pytali: moja pani, powiedz nam, co tu za ludzie mieszkają, że tak o cmentarz nie dbają? To ja bywało nic nie odpowiem, tylko się krwią obleję z wielkiego wstydu. Otóż nieraz, gdy się gospodarzy na wódkę do karczmy naschodziło, mówiłam im, że się tak przejeżdżający państwo nieporządkowi na cmentarzu dziwują; to mi odpowiadali: albo to my grabarze?... niech pamięta ksiądz, niech pamięta dziedzic, a nam co do tego, i dalejże mi za to głupstwa gadać, to i dam pokój. Ale jakoś Bóg sam zlitował się nad cmentarzem, bo oto przed piętnastą laty wrócił tu żołnierz, co go we wsi jakie lat dwadzieścia nie było: kula mu na wojnie nogę przestrzeliła i okulał biedaczysko. Odchodząc do wojska, zostawił tu żonę i dziecko; na dwa lata przed jego przyjściem zmarli oboje na cholerę. Przyszedłszy, prosił ludzi, by mu choć ich grobowce pokazali; ale gdzie tam!.. w wielkim nieporządku nikto nich nie wiedział; to biedaczysko złorzeczył nieładowi, że zapłakać nad mogiłą żony i dziecka nie może, i odtąd obrał się grabarzem cmentarnym, mówiąc: niechże choć dopilnuję, by ich kości nie walały się jak oto innych. I niebawem poczciwiec zabrał się do roboty i uporządkował rozrzucone mogiły. Zaraz też milej było na cmentarz spojrzeć; ale cóż, kiedy bywało, co Maciéj w dzień zrobił, to w nocy trzoda popsuła, i znów nowa robota. Widząc daremną swą pracę, przychodził tu biedak co niedziela i święto, i gdy się gospodarzy ze wsi naschodziło, prosił ich, aby w dnie wolne od pańskiej roboty, każdy choć furkę kamieni przywiózł pod cmentarz, żeby jak jadą na targ do miasta, wracając z pustemi furami, na nie choć po kilka kamieni niepotrzebnie zawalających drogę brali, a tak mówił, i drogę oczyścicie, i do obmurowania pomożecie mi; a ja gdy parkan stanie, jako ojciec dbać będę o groby naszych ojców, matek i dziatek waszych.

—A kto parkan będzie murował? pytali go.

— Nie troszczcie się, ja wymuruję, odpowiadał im. To niedobrzy ludziska śmieli się z niego, że mu się marzy licho wie co po pustéj głowie; to on znów pokazywał im przez okno, co się dzieje z mogiłami, że toż samo dziać się będzie kiedyś z ich grobowcami. A najwięcej wydrwiwał go jeden gospodarz Grzegórz Matysiak wielki bogacz, co nieledwo samby

mógł oparkanić cmentarz bez wielkiej swej szkody. Co nam do tego mówił on, co będzie dziać się z naszemi kościami po śmierci, albo my to czuć będziemy? I tak Maciej nic wskórać z niemi nie mógł. Ale jakoś w rok przyszła straszna cholera, dzwonili a dzwonili, po umarłych grabarz nie nadążał sam kopać grobów. Aliści umarła żona Grzegorza Matysiaka, którą on wielce miłował, i wszyscy ją lubili we wsi, bo była uprzejma kobieta, uczynna, a co najwięcej, to na ubogich bardzo miłosierna. Po śmierci jej przybiegł do Macieja Matysiak i rzekł z wielkim płaczem: wykopcie mi grób dla miłej żony, ale proszę was na miłosierdzie boskie, nie chowajcie jej ciała społem z drugiemi, jeno uścielcie jej osobno wygodne łoże, abym wiedział, gdzie jej kości spoczną, i gdzie mam nad niemi zapłakać.

Zrobił poczciwy Maciej, jako chciał gospodarz.

Mąż rozpaczliwy co dzień biegał na mogiłę i płakał dobrej żony, a zawsze grabarza prosił, żeby pamiętał, odarniował go i kwiatkami obsadził. Ale dnia jednego jakiś handlarz pędził wielką trzodę za Bug, i nocował podle karczmy, w nocy trzoda wlazła na nieogrodzony cmentarz i jakimś zrządzeniem zryła do szczętu mogiłę Matysiakowej, że aż wieko trumny widne było. Niewidział tego grabarz, bo z wielkiej pracy przy chowaniu cholerycznych zaniemógł, i w gorączce leżał jak nieżywy. Raniutko przychodzi Grzegórz na cmentarz jako zwykł był robić od śmierci żoninej: omdlał na straszny widok, i dalej pobiegł do Macieja z płaczem i opowiedział, co się stało.

— A co? rzekł wtedy grabarz, podnosząc się z posłania, gadaliście, kiedym was prosił jako najbogatszego, byście dali sąsiadom dobry przykład, i kilka furek kamieni w wolny dzień od pańszczyzny zrzucili pod cmentarz, toście się śmieli ze mnie, że mi się roi po pustej głowie licho wie co, że to wam szkodzić nie będzie, gdy wasze kości walać się będą, bo tego czuć nie będziecie, a za wami wtorowali sąsiedzi... a teraz co?.. Rok to już temu, parkan stałby był przy boskiej pomocy, i żona wasza spokojnieby spała snem wieczności w cichej mogile.

Grzegórz na te słowa nic nie odpowiedział; tylko wielkim głosem zanosił się od płaczu. Zwlókł się poczciwy Maciej z posłania, i z pomocą drugich zryty grobowiec ziemią zasypał. Matysiak zaraz nazajutrz sprzągł trzy fornalki, i zwalił od razu moc kamieni pod cmentarz; zobaczyli to drudzy, dalejże do kamieni, i nie wyszło miesiąca, a Maciej począł wołać że już dosyć.

— A teraz co robić będziemy? pytali go.

— Trzeba wapna, piasku, odpowiedział.

Wnet nasypano piasku, na wapno dał Grzegórz kilka rubli; widząc to złożyli się i inni jak kto mógł, i jest wapno. Maciej znał się na mularstwie, co dzień ktoś ze wsi przyszedł do pomocy i stanął parkan, jak go oto widzi Wielmożna pani. Potem gdy oparkanił, zabrał się wewnątrz do roboty: powygracowywał ulice, nawoził z lasu za pomocą gospodarzy w jesieni, młodych drzewek: świerków, topoli, lip i brzozek płaczących, i zasadził cmentarz drzewami; we dworze uprosił u ogrodnika kwiatków bzów i groby poobsadzał, i teraz proszę Wielmożnéj pani nie cmentarz, ale najpiękniejszy ogród. W niedzielę i każde święto pełno na nim ludzi, Maciej opowiada im historyę o umarłych, co na nim leżą, i to bardzo lubią słuchać; wiele tam pięknych rzeczy nasłuchać się można. Nie lubi tylko gadać o pijakach, i im na ustroniu grobowce stawia, by za nich osobno ludzie się modlili, i nie wypuści nikogo z cmentarza, aż za ich dusze wiele z nim modlitw i pieśni odspiewać muszą. Jak tam pani pójdzie, to się od niego pięknych rzeczy nasłucha.

Gdy to domawiała oberżystka, zbliżył się do cmentarza wysoki mężczyzna, kulejąc, w którym gosposia wskazała mi grabarza.

Zbliżywszy się do niego, prosiłam o otworzenie bramy, co natychmiast uczynił i weszłam nie na cmentarz, ale na najrozkoszniejszy ogród: ulice zwirem wysypane i wysadzone bzami, a krzyże i pomniki stojąc ponad grobami, wyglądały zpośród topoli, świerków i brzoz płaczących. Wchodzącéj tam nie opanowało serce, jak to bywa zwątpienie i smutek, ale z każdego okrytego zielonością drzewka i grobowca wiała nadzieja przyszłej, po zagrobowéj szczęśliwości; zdawało się, że ciała, co poczciwy Maciej wygodnie w ziemię ułożył, krótkim snem uspione w mogiłach, zbudzą się niebawem i staną przed Bogiem niepokalane. Grobowiec każdy leżał od drugiego

we właściwej odległości: jedne zdobiły pomniki, inne ubogie krzyże, a najuboższym, o których mogiłach nie było komu pamiętać, dobry Maciej wysadzał krzyże z różnokolorowych nieśmiertelników; i nie było na cmentarzu opuszczonego grobowca, tak o każdym pamiętał poczciwy ich opiekun.

Wprowadziwszy mnie pan Maciej w świat zmarłych, zaczął zwykłe opowiadanie, wstęp doń uczyniwszy temi słowy:

— Może Wielmożna pani zechce wiedzieć, kto tu spoczywa, to mniej więcej objaśnić potrafię.

—I owszem odpowiedziałam, i grabarz w te słowa zaczął:

—Oto mówił, wskazując darniową mogiłę, grób naszej dziedziczki, co przed dziesięcią laty tu zmarła. Była to bardzo dobra pani, dobrodziejka wielka poddanych swoich, miłosierna na ubogich, matka wdów i sierot, dla których umierając, wielką summę zapisała. Kazała się pochować na tym cmentarzu, wzbroniwszy kłaść ciało swoje w grób familijny koło kościoła będący. Niech spocznę mówiła, wśród swoich włościan, których kochałam, a którzy byli mi wierni, przychylni i pracowali gorliwie na pomnożenie moich dostatków. Wzbroniła również stawiać dla siebie pomnika; prożność to wszystko rzekła, nieprzynosząca zasługi w oczach boskich!

Otóż cztery siwe woły jednego z gospodarzy przywiozły ją w prostej dębowej trumnie pod te wrota; poddani z płaczem wielkim na rękach do grobu zanieśli, jam oto piasku na oczy nasypał i mogiłę odarniował; płaczą po niej dotąd dobrzy ludziska, nazywając matką.

A to, rzekł dalej, wspaniały pom nik nad grobem pana z wsi sąsiedniej. Jest z marmuru i złota na nim dużo, ale też mało w nim proszę Wielmożnej pani tego, co to droższe nad dyamenty i jaśniej od nich swieci. Kazał on sobie umierając, piękny pomnik postawić, ale wielki był grzesznik... niech mu Bóg przebaczy; może tam Wielmożna pani zmówi za jego duszę jaką modlitewkę.

Po westchnieniu dalej Maciej mówił, wskazując mogiłę z krzyżem żelaznym:

Pod nim spoczywa nasz ojciec i dobrodziej wielki, ksiądz proboszcz tutejszej parafii, co lat trzydzieści pracował dla dobra owieczek swoich; kochali go też parafianie, bo on ujmował sobie potrzebnych wygod, nieraz przyjmował skromny pokarm dzienny, by im ulgę we wszystkich potrzebach pomoc przynieść, wspierał uboższych i klęskami dotkniętych. Po śmierci nie było mu za co wznieść najlichszego pomnika na pamiątkę cnót jego; otóż parafianie złożyli się i ten krzyż postawili, i zdobią go całe lato kwiatami.

A to grobowiec ubogiego ekonoma, dalej ciągnął stary, wskazując obok leżący z pomnikiem pięknym; czterdzieści on lat wiernie jednej rodzinie służył i był ojcem chłopków. Nie batem i złorzeczeniem pędził ich do roboty, ale dobrem słowem; zawsze im mawiał: dziatki odróbcie powinności swoje, a milej wam będzie użytkować z własnej pracy, milej spożyć ją, milej układść do spoczynku i zbudzić się rankiem, bo nic ciężyć na sumieniu waszem nie będzie. A gdy pan dobry, ale niekiedy prędki kwapił się z ukaraniem, on tak jakoś umiał mu przełożyć, że go poklepawszy po ramieniu, odpowiadał: masz słuszność stary. To bywało niech kiwnął palcem, cała wieś biegła na jego wezwanie do roboty z wielką ochotą. Jak umarł, sądny dzień dział się we wsi: płacz, lament, a gdy go do tego grobu składano, to się weń lud rzucał z wielkiej rozpaczy. Pan mu ten piękny pomnik wystawił, cnoty jego na nim jak Wielmożna pani widzi, wypisać kazał, a żonie i dzieciom dał chleba do śmierci podostatkiem; bo im część piękną szlachecką kupiwszy, na wieczne czasy darował. Po dziś dzień wieśniacy co rok mszę zakupują za jego duszę.

A to.. także mówił Maciej, mogiła ekonoma, ale cóż o nim powiedzieć mam?... krzywdził ludzi, krzywdził pana; niech Wielmożna pani zmówi jaką zdrowaśkę za tego nędzarza.

Po modlitwie zwrócił się grabarz na drugą stronę i ukazując darniowe mogiły gdzie niegdzie z krzyżami rzekł: tu ubodzy wieśniacy spoczywają; jeżeli Wielmożna pani pozwoli to i o nich jest cós pięknego powiedzieć.

Oto właśnie stoimy nad mogiłą żony gospodarza z tej wsi Mateuszowej Kawki; żyjąc ona przykładnie z mężem swoim, wychowała dwanaścioro dziatek. Z sześciu synów dwóch zginęło na wojnie, bijąc się z nieprzyjacielem mężnie, sześć córek są za mężami, żyjąc przykładnie i dziatki poludzku wychowując.

Poczciwa Mateuszowa gdy jej mąż umarł, z którym żyła lat czterdzieści, jak poczęła tęsknić i płakać, tak i poszła niebawem za nim, prosząc mnie, bym ją podle niego złożył. Tak też zrobiłem; niech tam spoczywają razem i razem w dzień sądu powstawszy, zdadzą Bogu z cnotliwego życia rachunek. Zasadziłem oto na jej grobie cztery płaczące brzozki, bo po takiej niewieście niechaj płaczą nietylko ludzie, ale i drzewa!

Tu znów, mówił grabarz, postępując dalej, leży Jakób Sawuła. Krzyż ten piękny z napisem pan mu postawił, bo gdy się raz dwór ze środka zapalił, Sawuła na straży wtedy będąc, drzwi wyłamawszy, bo się dobudzić nikogo nie mógł, ratował państwa i ich dzieci z ognia, wyniósł szkatułę z pieniędzmi i oddał panu w ręce. Biedak a potem, gdy już ostatnie bydlę wyprowadzał z obory, pułap palący przywalił, i tak zginął w płomieniach; płakali po nim państwo serdecznie, żonę jego i dzieci wiecznemi czasy od pańszczyzny uwolnili i na pięknym gruncie obsadzili.

Tu zaś spoczywa, rzekł Maciej, wskazując przyległy grobowiec Sawuły, gospodarz z téj parafii Antoni Lipa, co nigdy wódki nie pijał, i cierpieć nie mógł tych, co ją namiętnie pijali. Był dobry rolnik, panu swemu wielce przychylny, pracowity, pobożny i bojący się Boga. Bogacz też był wielki: co rok zboża miał pełne zasieki, a poza stodołami stały stérty i w kufrze leżało pełno grosiwa. Miłosierny był wielce, bo jak głodne lata nastały, otworzywszy stodoły, sypał w wory zboże ubóstwu, to mu ludzie mówili: panie Antoni, sami chyba już z torbą zostaniecie. Nie bójcie się, odpowiadał, alboli nie wiecie, że kto daje ubogiemu, daje na lichwę Panu, co w niebiosach króluje. Dał mi On widno dostatek dlatego, bym o biedniejszych pamiętał, i ja jego wolę spełniam jako należy. To jak umarł, cały cmentarz zalegli ubodzy i płaczu było strasznego; dziedzic pod ciało jego dał kareciane konie, by go do grobu zawiozły, i sam z całą rodziną był na pogrzebie, mówiąc: taki człowiek wart, by go czcić za życia czcić i po śmierci. Również ksiądz proboszcz piękną powiedział w kościele mowę, i do dziś dnia wspominają Lipę i żałują go wszyscy ubodzy.

A pod tym kamieniem, mówił stary dalej, leży dwoje małżonków; wielce się miłowali oboje, a byli bogaci ludzie. Nie dał im Bóg dziatek, otóż wychowali i wyposażyli ośmioro sierot, mówiąc: że gdy nam Bóg dzieci nie dał, widno chciał, abyśmy o sierotach pamiętali i zastąpili im rodziców. Kamień ten, co Wielmożna pani widzi na ich grobie, leżał w ich progu; pięćdziesiąt lat żyjąc z sobą w miłej zgodzie, siadywali na nim wedle domu, i umierając, kazali go sobie na grobie położyć.

Tu Maciej postąpił dalej, a stanąwszy przed grobowcami, co pod parkanem leżały i kiwnąwszy ręką, rzekł: tu niema co Wielmożnéj pani mówić, bo tu oto spoczywają grzesznicy, co o Bogu zapomniawszy, wiedli naganny żywot w pijaństwie, pomarnowali przez wódkę dostatki i rodziny do wielkiej nędzy przywiedli. Niech Wielmożna pani, rzekł, skłoniwszy się mi nisko, zmówi za nich modlitewkę, by im Bóg grzech ten ciężki przebaczyć raczył.

Po modlitwie podziękowawszy Maciejowi za opowiadanie, wychodząc z cmentarza, westchnęłam serdecznie, aby Bóg nam dozwolił więcej spotykać tak pięknych cmentarzy, i tak poczciwych grabarzy, co nietylko pamiętają o szczątkach zmarłych, ale dzieje ich życia ku nauce opowiadają drugim. Bo wrota cmentarne dzielą zmarłych od żyjących, ale pamięć cnót i występków pozostawiają poza sobą; to własność niezaprzeczona pozostałych. Wśród nich poczciwa pamięć nie zgaśnie nigdy, choć ciało w proch się marny rozsypie, a mogiłę dłoń ciężka czasu zrówna z ziemią, i potomność poda je potomności na chlubę i przykład.

Ci zaś, co życie w występkach zmarnowali, lub brudnym postępkiem splamili, tak na cmentarzach, jako i poza ich wrotami nie zasługują na dobre wspomnienie; nad ich mogiłami, jak oto poczciwy Maciej, kiwnąwszy tylko ręką, powiedzieć można: niech im Bóg przebaczy!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 28 maja (10 czerwca) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*